

Przedstawiamy pierwszy głos w dyskusji
dotyczącej problemu postępowania z historycznymi ruinami.

W imieniu tych, co za dwieście lat...

JANUSZ KANIEWSKI

W Polsce o nieliczne ocalałe zabytki architektury toczy się nierówna walka między topniejącymi szeregami znawców i miłośników, pragnących owe zabytki chronić, a szarżą prymitywnych inwestorów, dążących do ich zagłady. Obie grupy są na razie hermetyczne, introwertyczne, nieprzemakalne na poglądy adwersarza, nie-współpracujące. Historycy knują, jakby tu inwestorom związać ręce, ci ostatni zaś kombinują, jak krępujące więzy obejść bokiem. Obydwie grupy unikają jak ognia spotkania twarzą w twarz i otwartej merytorycznej konfrontacji. Tymczasem zarzucone śmieciami, rozkradane, rozmywane deszczami bezcenne świadectwa naszej wspólnej historii potrzebują i jednych, i drugich, i jednym, i drugim są skłonne hojnie wynagrodzić mądre zainteresowanie. Unia Europejska wydaje konkretne, adekwatne pieniądze na ochronę dziedzictwa historycznego, które na tym małym kontynencie charakteryzuje się cudowną, ale też kłopotliwą dla archiwisty, niespotykaną gdzie indziej różnorodnością. Żeby podjąć decyzję o dofinansowaniu akcji ratowania kamienia na kamień położonego w dawnych wiekach w nieznanym mu kraju, brukselski urzędnik potrzebuje dwóch rekomendacji, obejmujących najbliższych kilkaset lat wstecz i wprzód: historyk musi go zapewnić, że miejsce to było ważne od stuleci po dzień dzisiejszy, inwestor musi mu obiecać, że będzie ważne od dziś przez następne stulecia. Jeśli program ratowania fresku w Polsce nie będzie zawierał obydwu tych deklaracji, pieniądze nań potencjalnie przeznaczone powędrują na analogiczny projekt do Włoch, Portugalii, Słowenii czy Estonii – a kolejna zima ujmie opowieści naszego fresku kolejnych akapitów. Wspaniałomyślność i surowość Historii: jesteśmy jedynie

chwilowymi depozytariuszami pięknych rzeczy, które były tu stulecia przed nami i stulecia po nas mogłyby pozostać. Historia daje nam do ręki narzędzia, by je zniszczyć. I ostrzeżenie, że surowo nas za to osądzi. *Zoom out*, duży krok do tyłu, spojrzenie z dalszej, już nie naszej, perspektywy: jak będzie wyglądała Polska za dwieście lat?

SCENARIUSZ PIERWSZY
– HISTORYCY WYGRALI

Ruiny klasztoru trzymane przez historyków z dala od łap inwestorów, niczyje, niezabezpieczone profesjonalnie: gołe wzgórce, kościotrup fundamentów pod napiętą skórą trawy. Czy płakać nad rzeczami? Te wszystkie chaty o zapadłych skudłanych grzywach, zasklepionych oczkach zapatrzonych w ukochane pola, osuwające się w przechwalające się wzrostem głupie pannice malwy... piękna i miłościwa śmierć. Polska wieś tak umiera, i tak umiera Wenecja.



1. Zamek w Szymbarku koło Ławy, XIX w.

SCENARIUSZ DRUGI – INWESTOR WYGRAŁ

Ruiny klasztoru wyrwane od tych natrętnych historyków, zamienione w 2008 r. na luksusowy hotel zbudowany ze szkła i aluminium przez taniego wykonawcę według projektu uzdolnionej córki właściciela: po dwustu latach ani śladu jednego i drugiego; parking lub lotnisko, może z nazwą starego klasztoru w logo. Czy może więc dać pierwszeństwo pamięci przed truchłem? Sławić słowem, wizerunkiem, pamięcią wolną od przykrego widoku starzenia, zanikania? Tak umierały Biblioteka Aleksandryjska, Termopile, Westerplatte, Berlin Zachodni – miejsca drogie również tym, którzy urodzili się setki lat kiedy indziej. Czy ważne, jak tam było naprawdę?

SCENARIUSZ TRZECI – DOGADALI SIĘ

Ruiny klasztoru, odbudowane profesjonalnie, maniakalnie według starych projektów i starych technologii, które były bardzo kosztowne, ale refundowane przez nowocześnie, cynicznie pozyskane fundusze UE, obecnie wyglądają jak osiemset lat temu, w okresie świetności. Pięknu prawie tysiącletnich proporcji nie zaszkodził kłopotliwy epizod z jednym brunatnym i jednym czerwonym szaleńcem w tle. Urządzony w dawnym klasztorze hotel szczyli się niezmiennym od stu osiemdziesięciu lat jadłospisem. Program minimum: profesjonalnie zabezpieczone ruiny na prywatnym terenie nowoczesnego hotelu, obok park tematyczny. Tak, chcę tak. Chcę, żeby polskie zabytki zostały odkryte, skatalogowane, zarchiwizowane, zabezpieczone, uratowane przez profesjonalistów, miłośników za pieniądze prywatnych inwestorów i za pieniądze podatników z całej Europy. Tak, urodziłem się tu i chcę, żeby profesjonalizm i wiarygodność finansowa polskich mieszanych zespołów ekspercko-finansowych wygrała za każdym razem z analogicznymi zespołami słoweńskimi, estońskimi, portugalskimi.

DYSKUSJA

Siadamy do rozmowy. Najpierw obiecujemy, że nie będziemy sobie nawzajem chlustać gorącą kawą w oczy. Historycy – to nie twardogłowi jajogłowi starej daty, to ludzie, którzy mają w tej branży know-how, kochają te rzeczy, no i po ich stronie stoi prawo. Inwestorzy – to nie prostacy nowobogacy, to bardzo pracowici ludzie, którzy swoimi podatkami powodują, że prawie już nie jesteśmy tym wstydliwym biednym krajem i wreszcie możemy się zająć czymś szlachetniejszym niż najprostsze sprawy bytowe. Od obydwu definicji są wyjątki, kiedyś bardzo widoczne, ale po osiem-



nastu latach normalności coraz rzadsze. Są do załatwienia konkretne sprawy: student marzy o uratowaniu starego żydowskiego cmentarza, ale nie ma na to pieniędzy, a chłopak ze wsi dorobił się fortuny i w jego prostym sercu pojawia się miejsce na coś wznioślejszego. Nie wyśmiać obydwu, spotkać ich ze sobą, pomóc zrobić coś, co (znowu, z perspektywy dwustu lat, cóż to jest!) będzie trwało. Rozmawiać, klócić się, pobić się zawczasu, na łamach czasopisma, w klubie dyskusyjnym, nie na placu budowy. Na placu budowy inwestor jest już zdeterminowany dokończyć w terminie, bo ciążą na nim zobowiązania finansowe; choćby był najporządniejszym człowiekiem (całkiem często jest), na tym etapie musi bronić swojej rodziny przed bankructwem. Historyk na plac budowy przybywa często nieprzygotowany, z pretensjami: zablokuje całą rozgrzebaną budowę zamiast na chłodno wymóc na inwestorze zachowanie i konserwację świętego status quo. Prawo stoi za nim, ale często prawo jest nierychliwe, nienowoczesne: zanim się obejrzy, już ktoś dał mu kuksańca i nieniepokojony pobiegł robić swoje. Na pl. Piłsudskiego w Warszawie stoi rozkopana budowa. Miasto wydało publicznie pieniądze na odbudowę Pałacu Saskiego. Duża polska firma budowlana, konkurująca z największymi światowymi koncernami, prace rozpoczęła. Tymczasem



2. Zamek Krzyżtopór w Ujeździe, XVII w.
3. Wieża Bramna zamku Bonerów w Ogrodzieńcu w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, XVI w., stan w 2002 r.

(zdjęcia: 1,2 – Kamil Zeidler, 3 – Wojciech Przybyszewski)

oczom zdumionych wszystkich zainteresowanych ukazały się zabytkowe piwnice, które spowodowały, że budowa została wstrzymana. Historycy zacierają ręce. Pieńki publiczne zostały zmarnowane. Polska firma, uwiązana budową na pl. Piłsudskiego, osłabiła swą pozycję na rzecz konkurentów z Niemiec, Ukrainy i Chin. Czytamy w gazetach, że nie ma tu niczyjej winy. Owszem, jest wina wszystkich. Dlaczego odpowiednie, skuteczne i wiążące konsultacje nie zostały przeprowadzone przed wbiciem pierwszej łopaty, skoro wiadomo było, że te piwnice tam są?

HISTORIA SUBIEKTYWNA

Przez wiele lat mieszkałem w Turynie. To miasto kiedyś było rzymskim obozem wojskowym, zbudowanym na planie geometrycznej siatki, szachownicy. W średniowieczu dzika żywotność, gospodarność i samorządność cywili zmieniła go w płataninę urokliwych zaułków. Nadszedł barok: Juvarra zburzył całe średniowieczne centrum, żeby odtworzyć siatkę ścieżek obozu.

Dziś juwarryjski barok Turynu jest już klasykiem samym w sobie, pomijając rzymski plan miasta. Ale europejskie dziedzictwo zubożało o całe duże średniowieczne miasto: czy puryzm konceptu Juvarry uzasadnia taką stratę? Faszyzm: Mussolini przebił arterię przez środek miasta, żeby poszerzyć główną ulicę (Via Roma). Rozbił kompleks symetrycznych barokowych (juwarryjskich) kościołów, bo mu tędy wypadała arteria. Ironicznie potraktowanym wzorem tradycyjnej włoskiej kampanili, dzwonnicy w rogu głównego placu, na zamknięciu wpadającej na Piazza Madama ulicy postawił wieżowiec. Barbarzyństwo. Ale Via Roma dziś to historia schronów z czasów drugiej wojny światowej, historia marszów, strajków, starć ulicznych „Anni di Piombo”, „ołowianych lat”, mało znanych w zajętej własną walką Polsce dekad skorumpowanych rządów chadecji, lewackiego terroryzmu, Czerwonych Brygad, strzałów na ulicach, bomb, desperackich prób całego Zachodu powstrzymania osuwania się Włoch w orbitę Związku Radzieckiego. Industrialny Turyn, marsze robotnicze na Via Roma, płonące samochody – to już Historia. Gdyby dziś jakiś nowy Juvarra rzucił hasło odbudowy barokowej Via Roma, kosztem tej, którą znamy z pierwszych stron gazet z lat sześćdziesiątych XX w. – nie zgodziłbym się. *Non possumus*. Już nie.

W obronie którego Turynu stanęliby Państwo? Ale z perspektywy tych, co za dwieście lat?

NIEKATEGORYCZNE ODPOWIEDZI

Myślę, że zastanawiając się nad przyszłością obiektów z przeszłości, trzeba nieustannie przypominać o przejściowości naszej nad nimi kurateli, nie demonizować odpowiedzialności (żyliśmy tu kilkadziesiąt lat, mieliśmy prawo trochę to zużyć, ale za to coś innego naprawiliśmy), kierować się rozsądkiem i dobrą wolą, korzystać z pomocy prawa, ale nie doktrynalnie. Wiedzieć, że mam prawo zabronić, ale najpierw perswadować, uczyć. Jedyną żelazną zasadą, od której bym zaczynał, to *primum non nocere*.

Turyści i inwestorzy – to też sprzymierzeńcy, wyrwywają się, żeby sypnąć groszem, wystarczy ich tylko edukować, skanalizować ich możliwości, zaprząć w tryby słusznej sprawy. Dla inwestora zabytek w nienaruszonym stanie – to zawsze większa wartość, nawet jeśli nie zawsze o tym wie. W tym celu trzeba nauczyć się ich języka, nie obrażać, umieć zapytać o opinię. Pewne decyzje wymagają szerszego, pozaekspersckiego konsensusu oraz wycucia skali i kontekstu.

Nie budzi mojego sprzeciwu zamienienie skonsekrowanego barokowego kościoła lub średniowiecznego zamku w nowoczesną, ekstrawagancką willę – we Włoszech. W Polsce już tak, bo w odróżnieniu od Włoch tu zachowało się bardzo mało tego typu obiektów. Wolalibyśmy, żeby ktoś, kto ma ambicje i możliwości, żeby zbudować, z pomocą dobrego architekta, dom z zadatkami na przyszły klasyk architektury na bazie zabytkowego obiektu – wybrał lokalizację we Włoszech. W Polsce jest po prostu za mało tego typu miejsc, nieudany eksperyment – to strata zbyt dużego odsetka naszych budowli historycznych.

Pytań granicznych będzie przybywało i próżno w przeszłości szukać odpowiedzi. Białe mury greckich

świątyn – symbol ciągłości europejskiej kultury. No, ale one kiedyś, za czasów swej świetności, były malowane w krzykliwe kolory. Remontując, wypadaloby je odmalować, a przynajmniej nie pokazywać w filmach historycznych niepomalowanych. Ale Europa, historia, nasze społeczeństwo przymknęło oko, wszyscy umówili się, że greckie świątynie były białe. Zwiedzając Grecję lub oglądając film o starożytnych Ateńczykach, nie zwiedzamy więc zabytków z ich epoki, lecz dużo późniejsze zabytki pewnej paneuropejskiej wizji. Czasem, jeśli jakieś rzeczy były artystyczną (obyczajową, religijną) prowokacją, ważniejsze jest zachowanie atmosfery prowokacji niż zachowanie atmosfery epoki. Muzeum Powstania Warszawskiego (muzeum zniszczenia Warszawy) wydaje się ważniejsze niż Muzeum Historyczne m.st. Warszawy.

Anglicy i Francuzi nakradli w północnej Afryce bardzo dużo dzieł sztuki, bezcennych rzeźb, zabytków, ale dzięki temu wiele z nich ocalało. To, co Niemcy wywieźli z Warszawy w czasie wojny, tego nie spalili w powstaniu. Na wsi umiera stary dwór, w Warszawie w zabytkowej kamienicy ktoś nierozsądny zniszczył podłogę. Przenieść do Warszawy podłogę z dworu, zanim jego resztki zostaną wywiezione na gruzowisko?

MAŁA STRATA

Na zamku w brytyjskim Blenheim znajduje się pyszna kolekcja ceramiki, którą podarował hrabiostwu Marlborough nasz król Jan III Sobieski w zamian za parę wspaniałych chartów wyścigowych. Pieski po kilku latach, niestety, pewnie umarły, zbiór ceramiki po dziś dzień kusi turystów w folderze reklamowym zamku. Nierozsądne ze strony króla. Rozumiem, że w tamtych czasach posiadanie trzódki chartów było obiektem *must-have* na skalę dzisiejszego posiadania iPoda, ale jednak w perspektywie kilkuset lat hrabiostwo Marlborough zrobili lepszy interes, a nam czegoś ubyło, czegoś małego, ale jednak cennego w kontekście faktu, że wcześniej najechali nas Szwedzi, później Niemcy, i zniszczyli nie tylko takie kolekcje.

Mój niepokój budzi masowe wyburzanie ogromnych terenów przemysłowych na warszawskiej Woli. Po powstaniu w Warszawie brakuje pięknych kamienic. To wiemy. Ale brakuje też starych gniazdek elektrycznych, stolarki okiennej, lamp, książek, krzesel, talerzy, maszyn do pisania, latarni ulicznych, żeliwnych balustrad, drewnianej klepki podłogowej. Takich banalnych rzeczy, ale jednak wartościowych, a w tym wypalonym do szczytu mieście już unikających. Wolałbym, żeby przed wyburzeniem kilkunastu starych fabryk cały teren przewężyło stado studentów architektury i zrabowało co się da. Za pazuchę, dla przyszłych pokoleń. Niepokoją mnie niektóre aspekty pozytywnego oczywiście samego w sobie bogacenia się biedniejszej warstwy społeczeństwa: fala remontów w mieszkaniach w starych kamienicach, wymiana okien na plastikowe, nieskoordynowana między sąsiadami wymiana drzwi na zabytkowych klatkach schodowych. Pięć lat temu było w Warszawie (zgaduję) trzysta kamienic, w których na całej klatce schodowej wszystkie drzwi były takie same, oryginalne.

W tym roku (znowu zgaduję) jest takich kamienic pięćdziesiąt. To strata, i to strata nieodwracalna. Nie można (nie da się, jest to niewykonalne itp.) tego zabronić i zakazu wyegzekwować, ale można edukować, namawiać, dawać przykład.

STATUS QUO

My mamy dodatkowy powód do niepokoju: od historii przemysłu, handlu, obrotu pieniądzem zależy, co się z nami dzieje, a przez całe minione sześćdziesiąt lat, udając, że kapitalizm nie działa, nie nauczano nas tego. Tymczasem niezajomość praw przepływu pieniądza nie zwalnia nas od podlegania skutkom tego przepływu. Z listu do mojej przyjaciółki z Krakowa:

„Pod Błękitnym Wieżowcem stoi pomnik prezydenta Starzyńskiego [...]. Na pomniku Starzyński stoi pochyłony nad planem Warszawy. Naprzeciwko pomnika jest przystanek tramwajowy. Akurat, kiedy przechodziłem, na przystanku zatrzymał się tramwaj z reklamą produkującej piece grzewcze firmy Junkers. Pies z kulawą nogą na tym przystanku, plecami do pomnika Starzyńskiego, nie wie już, albo go to nie obchodzi, że niemiecka firma Junkers skoncentrowała się li tylko na produkcji piecyków dopiero po wojnie – wcześniej zajmowała się produkcją bombowców dla III Rzeszy. Cała Warszawa, ta z tego przedwojennego planu w rękach Prezydenta na pomniku, została zrównana z ziemią przez bombowce Ju-40 (czy 41, nie pamiętam) tej firmy”.

Pamięć nazw handlowych, zabytki życia codziennego. Czy będziemy umieli nie zmyć tej ulotnej tkanki, naleciałości, szorując, konserwując w najlepszej wierze dla potomnych gołe mury? My jesteśmy zupełnie zieloni, jeśli chodzi o tę wiedzę. Boże, co to jest, osiemnaście lat normalności. Na razie, żeby się nie zbłąźnić, jeśli już nas stać – kupujemy pewniaki: jeśli torba podróżna, to Louis Vuiton, jeśli projektant ekskluzywnej butelki wódki, to Frank Gehry, jeśli samochód w reklamie męskiej odzieży, to Ferrari, jeśli obraz na ścianę, to któryś z Kossaków. Obecnie na rynku liczy się pokolenie wychowane w rzeczywistości, gdzie tylko 7% dorosłych ma wyższe wykształcenie. Pokolenie „telewizor, meble, mały fiat”. Chyba „ci, co za dwieście lat” woleliby, żebyśmy z tą naszą siedmioprocentową, okaleczoną wiedzą nie eksperymentowali za bardzo z ograniczonym tu po tym trudnym wieku stanem ładnych, starych rzeczy, które możemy zachować albo zepsuć. Ograniczmy się na razie do nieniszczenia. Za chwilę wejdzie na rynek pokolenie boomu edukacyjnego lat dziewięćdziesiątych: ponad 20% dorosłych po wyższej uczelni – to po prostu statystycznie, naukowo, historycznie lepsze od naszych ręce. Zachować, co się da, zakonserwować w miarę możliwości, nie zniszczyć, poczekać, uczyć, mądrze przekazać. Edukować i same-mu uczyć się nowych zagrożeń, nowej rzeczywistości, nowych niekategorycznych odpowiedzi; edukacja to bardzo długoterminowa, ale najpewniejsza inwestycja, zabytki proszą o pomoc, ale wolą poczekać niż usłyszeć odpowiedź pochopną.

Janusz Kaniewski